

Niebezpieczne związki

Związki literatury i różnych form wiedzy to problem tak stary jak samo piśmiennictwo (przynajmniej od czasu, gdy Arystoteles sformułował koncepcję mimesis jako „sztuki naśladowania”). Relacje literatury i nauki to, co prawda, kwestie nieco późniejsze, bo młodsze od „wiedzy” jest pojęcie „nauki” (zwłaszcza nowożytnej), ale w dzisiejszych dyskursach teoretycznoliterackich równie leciwe jak ten pierwszy. Potraktujmy je razem.

Problem ten – literatura a wiedza – pojawia się w każdym dyskursie teoretycznym niezależnie od jego pro- czy antyścyentystycznych założeń. Dla historyków literatury epok dawnych nie jest jednak niczym nadzwyczajnym – ot, jeden z wielu oczywistych tematów, z którym każdy historyk zmagają się na co dzień. Dopiero literaturoznawstwo drugiej połowy XX wieku – zainfekowane ogólnofilozoficznym sceptycyzmem poznawczym (jeden z wariantów modernizmu) – zaczęło wątpić, czy literatura komunikuje nam jakąkolwiek wiedzę o świecie (skoro jej język zbudowany jest jedynie ze skonwencjonalizowanych znaków). Logicznym krokiem naprzód był wniosek, że teoria przedmiotu, który sam niczego o świecie nie komunikuje, sama też niczego zakomunikować nie potrafi. I z tego objawienia powstała mantra o niemożliwości teorii i o braku o d n i e s i e n i a (r e f e r e n c j i) j a k i e g o k o l w i e k t e k s t u – t a k ż e t e o r e t y c z n e g o. Jej kapłanom nie przeszkadzało jednak, że głoszą ją wewnątrz uniwersytetów i akademii w ramach instytucjonalnych obowiązków naukowego poszukiwania prawdy.

Cała ta problematyka, w której jedni dostrzegają kolejną fazę przeżuwania Nietzschego, a inni nieświadomą repetycję konwencjonalizmu Poincarégo czy zasady nieoznaczoności Bohra, w literaturoznawstwie nie jest jednak niczym innym, jak historyczną cechą kontekstów ogólniejszych – modernistycznego paradygmatu pytań o status nauki, jej języka, wzajemnych relacji pomiędzy przedmiotem a poznającym podmiotem, a przede wszystkim – wpływu narzędzi poznania (w tym języków badawczych) na jego efekt. Gruntownie analizuje te kwestie Danuta Ulicka. I ma rację powiadając, że wiedza teoretycznoliteracka jest zawsze jakąś formą antropologii, która na każdą tezę (obojętnie, w którą stronę zmierza jej radykalizm) pozwala spojrzeć jako na wytwór podmiotowości badacza, jego narzędzi a przede wszystkim – paradygmatu kultury, w dłuższej lub krótszej perspektywie.

No tak, ale w naukach ścisłych i przyrodniczych, którym humanistyka zawdzięcza precyzyjne sformułowanie problematyki względności i konwencjonalizmu, relatywizmu i relacyjności, nieoznaczoności i aksjomatyki, dokonuje się jednak nieustanny postęp poznawczy, a prawda – jako zgodność z rzeczywistością – jest podstawowym kryterium falsyfikacji wszelkich badań. Konwencjonalizm, kulturowy czy epistemologiczny relacjonizm, oraz inne ograniczenia naszego poznania okazały się w minionym wieku bardzo sprawnyymi postawami metodologicznymi, służącymi do osiągania coraz bardziej niezwykłych odkryć naukowych. Tymczasem w literaturoznawstwie co chwilę można natknąć się na „odkrycia”, że jesteśmy bezsilnymi więźniami języka i stać nas jedynie na opis wyglądu celi od środka (bo nawet okno jest atrapą).

Tymczasem naturalne ograniczenia aktów poznania (kulturowe i epistemologiczne) humanista powinien traktować jako niekończącą się drogę poszukiwań, a nie jako niewzruszony aksjomat i ostateczny punkt dojścia, poza którymi jest tylko pustka (czyli literaturoznawcza wersja „końca historii”). Terminologia, czy raczej metaforyka nazewnictwa, czerpana z teologii czy filozofii, estetyki czy lingwistyki, cybernetyki czy biologii (vide artykuł Tamary Brzostowskiej-Tereszkiewicz), socjologii czy psychoanalizy, antropologii czy nomadologii i wielu innych dyskursów, którymi podszyte są wszystkie teorie literaturoznawcze, nie decyduje przecież ani o braku odniesienia teorii literaturoznawczych, ani o ich nieprawdziwości, czy – jak twierdzą radykałowie antyścyentyzmu – o ich chronicznej nienaukowości. Dewaluacja teorii, błędy i nieporozumienia należą do nauki tak samo jak jej najnowsze ustalenia. Integralną częścią pojęcia nauki jest bowiem jej historia, w której przecież więcej jest pomyłek, ustaleń chybionych i koncepcji nietrafnych (z późniejszych punktów widzenia) niż ustaleń o wartości bezwzględnej. Błąd jest także źródłem historycznym. To, co kiedyś było nauką, później, po latach – a dziś w naukach ścisłych niekiedy po tygodniach – okazuje się często ślepym zaułkiem, nieporozumieniem, wiedzą przejściową. To prawda. Ale historyczne postacie nauki zweryfikowane przez kolejne etapy jej rozwoju stają się – jako wiedza – częścią kultury minionych epok.

Jednak żadna dyscyplina, która aspiruje do miana nauki, nie może zakładać, że jest zbiorem tez już w momencie formułowania dowolnych, to znaczy niefalsyfikowalnych czy

nieweryfikowalnych. Niektórzy literaturoznawcy rozwiązują dziś ten problem w myśl zasady: skoro w humanistyce wszystko uchodzi, to inaczej się nie godzi.

Jednak nie o to chodzi.

Pytając o relacje pomiędzy literaturą a wiedzą, warto uwolnić się od tych konceptualizacji. Możliwości sformułowania tego problemu jest wiele, toteż wskażę tylko na kilka z nich, traktując wszystkie jako warianty jego historycznej, czy jakby powiedział Ryszard Nycz, „kulturowej natury”.

Pojęcie literatury związane jest tyleż z literą jako konwencjonalnym znakiem, co z pismem jako przekazywaniem informacji, a zatem zawsze z jakąś wiedzą o świecie. Języki, które nie miałyby żadnego odniesienia, są – wiemy to od Sapira – logicznie niemożliwe. Pojęcie „języka prywatnego” – dowodził przed laty Ayer – jest oksymoronem. Język bowiem musi zawsze coś komuś komunikować, inaczej nie byłby językiem. To samo dotyczy napisanych w tych językach tekstów. Nie ma tekstów bez jakiegokolwiek odniesienia (referencji).

Literatura jest więc zawsze medium wiedzy zinstytucjonalizowanej, ponieważ język to elementarna instytucja społeczna, której – przepraszam za brzydkie słowo – odinstytucjonalizować nie potrafimy (chyba że popadniemy w bełkot). Ta instytucja pierwszego stopnia (literatura jako język) jest wehikulem dla różnych instytucji stopnia wtórego, jednak pytanie „jakich?” (wiedzy z zakresu fizyki? geologii? czy mleczarstwa lub winorobstwa? etc.) nie jest tu istotne. Chodzi raczej o to, co „pierwsza instytucja” robi z tymi wtórnymi? Popularyzuje je? Odkrywa ich nowe obszary? Wzbogaca czy zubaża? A może po prostu... banalizuje, zamieniając każdą porcję wiedzy w stereotyp i frazes. Niezależnie jednak od tego, jaką odpowiedź wybierzemy – a wszystkie są możliwe! – pytanie literaturoznawcze brzmi: w jaki sposób wiedza jest w literaturze mediatyzowana? To znaczy: za pomocą jakich gatunków, stylów, modalności, fabuł, narracji, idei czy estetyk? Słowem – jak historyczne poetyki tekstu pełnią funkcje różnych korelatów wiedzy o świecie?

A koncepcje teoretycznoliterackie – czyż nie są po prostu aktualnymi modelami wiedzy uniwersyteckiej. A sposoby analizy literatury – korelatami historycznych metod analizy (rozumienia) przyjmowanych przez inne dyscypliny wiedzy?

A wreszcie sama komunikacja literacka? Nikt chyba, nawet radykalny fenomenolog, nie przyjmuje, że ma ona charakter bezzalożeniowy, albowiem we wszystkich aktach świadomości, jakie się na nią składają (pisanie, czytanie, rozumienie etc.), obecna jest jakaś wiedza. Najczęściej jest to *w i e d z a p o t o c z n a*, której modele i formy rozciągają się od magii po wysoki stopień kompetencji. Dość wspomnieć doświadczenia literatury dokumentalnej, fantastyki naukowej, prozy podróżniczej, historycznej itp. Czy jednak wiedza potoczna pomaga, czy raczej utrudnia, wzbogaca, czy deformuje rozumienie literatury?

Nikt dziś chyba nie wierzy w utopię doskonałego porozumienia uczestników (bo nawet nie partnerów) komunikacji literackiej. Mieści się ona – w przyjętej tu perspektywie – pomiędzy popularyzacją a kształtowaniem stereotypów, ale równocześnie pomiędzy podniętą dla poszukiwań badawczych (rola lektury Iliady w odkryciach Schliemanna) a świadectwem wiedzy pisarza w jakiejś konkretnej dziedzinie (medycyna, historia, ornitologia, botanika etc.).

Bez wątpienia literatura wypracowała przez wieki swoiście literackie instrumentarium zdobywania, systematyzacji i przetwarzania wiedzy potocznej (mimesis, fikcjonalność, „obraz”, „zwierciadło”, „lampa” etc.). Jaka jest jednak w literaturze funkcja tej wiedzy – czy tylko jako źródła szkolnych informacji o człowieku i świecie? A w innych lekturach? Czyż wiedza potoczna nie jest głównym źródłem formowania obrazów świata, a zatem światopoglądów?

A przecież literatura – właśnie dlatego, że jest literaturą – jest raczej „antywiedzą”! Nic bardziej błędnego – choć kiedyś był to aksjomat – niż utożsamiać ją z „przekazywaniem informacji”. Literackość jest zaprzeczeniem informacji, tak jak metafora – dosłowności. Literatura posługuje się chętnie mitem, legendą, plotką, niekiedy ideologią, nawet – propagandą, że niewspomnę o absurdzie, surrealizmie, grotesce etc. Zdarza się więc nader często, że jej źródłem jest programowa antywiedza i „niewiedza” – i to nie tylko w potocznym znaczeniu tego słowa. A nie chodzi tu wyłącznie o „wiedzę instytucjonalną”, lecz raczej o wiedzę rozumianą jako doświadczenie – indywidualne, prywatne, osobiste, wobec którego literatura jest poszukiwaniem wyrażenia i wiecznie otwartym, nigdy niekończącym się zdziwieniem.

W ten sposób doszedłem do pytania, które „w tym temacie”, w literaturoznawstwie wydaje mi się zasadnicze – czy istnieje wiedza swoiście literacka i co to sformułowanie miałyby oznaczać? W wersji najbardziej oczywistej (choć zawsze wartej przypomnienia) literatura kształtuje własną wiedzę o człowieku i świecie, zanim odkryją ją dyscypliny naukowe. Mówiąc żartobliwie, Freud potrzebował wieków, żeby odkryć to, co było oczywiste dla Sofoklesa czy Szekspira. W wersji mniej oczywistej – wiedza swoiście literacka to taka, która jest zaprzeczeniem... nauki. Status tej ostatniej polega bowiem na powtarzalności, tymczasem status literatury (i sztuki) polega na jej chronicznej jednostkowości. Cokolwiek odkryją: Kopernik, Newton, Einstein musi być przez innych uczonych powtórzone, potwierdzone, wykorzystane, seryjnie skopiiowane. „Przekład” w nauce musi być identyczny z oryginałem, a nawet lepszy. Taki jest przecież społeczny sens odkryć i osiągnięć naukowych – stają się one natychmiast dobrem wspólnym wszystkich specjalistów. Nauka przyciąga następców wielkich mistrzów.

Tymczasem w literaturze (sztuce) Homer, Dante, Szekspir, Cervantes, Stendhal, Dostojewski, Proust, Gombrowicz, Schulz jest zawsze jeden. Powtórzenie jest niemożliwe. „Przekład” (jako następna wersja) nie będzie nigdy identyczny z oryginałem, może być tylko inny, a nigdy nie lepszy. Tekst literacki fascynuje legiony interpretatorów, bo interpretacja w sztuce to dowód niemożności powtórzenia.

Literatura jest rzeczywiście „armią metafor”, ale są to metafory – jak pisze w tym numerze Edward Balcerzan – które o tym wiedzą. Nie można jednak powiedzieć, że jest to wiedza potoczna.

Włodzimierz BOLECKI